NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 86·45 Marek, Półrocznie 172·90 Mk. Rocznie 345·80 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień“, Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 7 Marek.**

Rok XVII. Kraków, 19. czerwca 1920. Nr. 25.

W piątą rocznicę Rokitny



Uroczyste poświęcenie sztandaru 2 pułku szwoleżerów rokitniańskich na dziedzińcu Zamku królewskiego w Krakowie.



W piątą rocznicę Rokitny: Lewa strona sztandaru ofiarowanego 2 pułkowi szwoleżerów przez gminę m. Krakowa.

W piątą rocznicę Rokitny.

(Do illustracyi tytułowej).

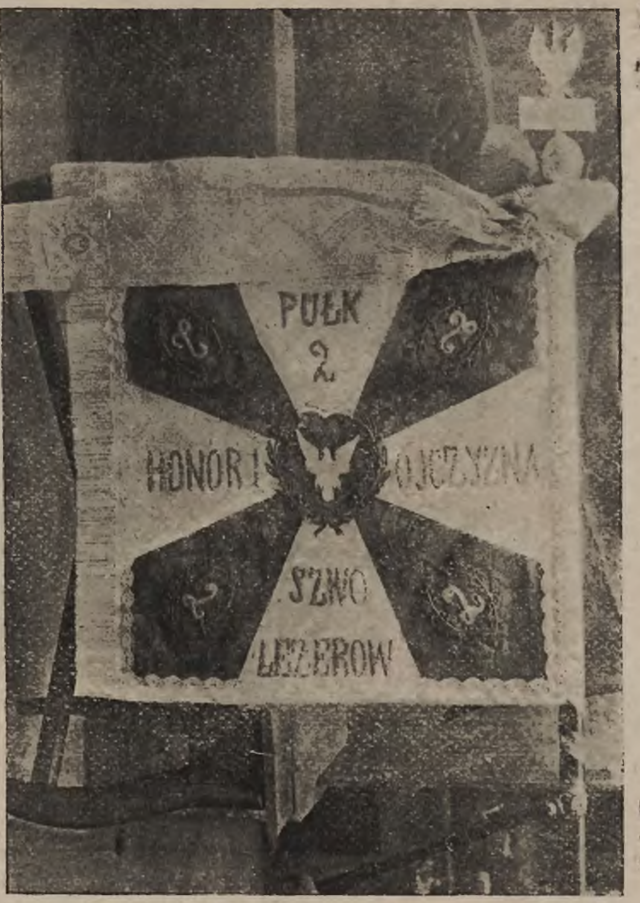
Dzień 13 czerwca 1915 r., zajmie w dziejach polskiego oręża jedno z najpoczestniejszych miejsc. Oddział jazdy polskiej, wchodzący w skład Legionów, a pozostający pod komendą rotmistrza Zbigniewa Dunin Wąsowicza, na rozkaz austryackiej komendy, wykonał wówczas pod Rokitną szarżę na poczwórne rowy strzeleckie Moskali.

Czyn ten, jak się dziś okazuje, po prostu szalony, spełnili nasi bohaterowie z żołnierskiem posłuszeństwem i prawdziwie polską, ułańską fantazyą. Pozycyę zdobyto, ale ofiarą padł dzielny rotmistrz i czternaście towarzyszy, dwudziestu odniosło ciężkie rany.

Szarża polskich ułanów pod Rokitną, to żywe przypomnienie Sommosierry. Tak dziś, jak i wtedy, brawura i determinacya polskich ułanów w podziw wprawiały tych, co na to patrzyli, sztandary polskie okryła nowym wawrzynem, a nazwiska bohaterów przekazała historyi.

Rocznicę piątą Rokitny obchodził w roku bieżącym Kraków bardzo uroczyście, z jej bohaterami wiążą go bowiem najściślejsze stosunki. Drugi szwadron ułanów Legionów, to formacya krakowska, powstała z polowych drużyn krakowskiego konnego Sokoła.

To też, gdy w Radzie miasta zapadła uchwała, aby ufundować sztandar dla jednego z pułków polskich, wybór padł na drugi pułk szwoleżerów, w który zmienił się przy tworzeniu stałej armii polskiej, pułk ułanów Legionów, obejmujący drugi szwadron pod komendą rotmistrza Wąsowicza. Na tę pamiątkę nosi też pułk nazwisko „szwoleżerów rokitniańskich".



W piątą rocznicę Rokitny: Sztandar ofiarowany 2 pułkowi szwoleżerów przez gminę m. Krakowa.

Jako dzień uroczystego poświęcenia sztandaru i wręczenia go delegacyi pułkowej, umyślnie w tym celu przybyłej z ukraińskiego frontu wybrano 13 czerwca, jako rocznicę wprawdzie bolesną, ale dumą i otuchą napełniającą każde prawdziwie polskie serce.

Polska zginąć nie może, jeśli ma takich bohaterów!

W dniu 13 czerwca br. zebrały się w katedrze wawelskiej i na dziedzińcu zamkowym tłumy. O godzinie 10 rano odprawił przed ołtarzem św. Stanisława uroczyste nabożeństwo X. Dr Korzonkiewicz. Wzięli w niem udział: reprezentant Naczelnego Wodza, jenerał Jacyna, przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych, weterani z r. 1863, cechy krakowskie ze sztandarami, oraz delegacya pułku szwoleżerów rokitniańskich, pod przewództwem majora Rabińskiego, który ongiś organizował, jako członek krakowskiego konnego Sokoła, drugi i trzeci szwadron ułanów. W skład delegacyi wchodzili nadto dwaj uczestnicy rokitniańskiej szarży, porucznik Chwalibóg i podporucznik Łąkawski.



W piątą rocznicę Rokitny: Szwadron szwoleżerów biorący udział w uroczystości.

Po nabożeństwie udano się na podwórze Zamku królewskiego, gdzie ustawiono podyum, na którem się odbyła ceremonia wbijania gwoździ pamiątkowych, poświęcenie sztandaru i oddanie go reprezentacyi pułku. W okół ustawiły się oddziały różnych gatunków broni, między nimi konny pluton szwoleżerów i szkoła podchorążych, cechy ze sztandarami i tysiączne tłumy.

Pierwszy gwóźdź wbił w imieniu Księcia Biskupa X. Dr. Korzonkiewicz, drugi, w imieniu Naczelnego Wodza, jenerał Jacyna. Z kolei wbijali gwoździe przedstawiciele władz i instytucyi.

Po wbijaniu gwoździ przemówił w podniosłych słowach mecenas Ostrowski, poczem zabrał głos X. Dr Korzonkiewicz, który po ukończeniu przemówienia dokonał ceremonii poświęcenia sztandaru.

Z kolei wystąpił imieniem krakowskiej Rady miasta wiceprezyd. Sare, podnosząc genezę powstania sztandaru i motywy, które skłoniły reprezentacyę miasta do ofiarowania go temu pułkowi, poczem oddał go wśród grzmiących okrzyków na cześć Wodza, armii i dzielnego pułku w ręce jenerała Jacyny.

Wzruszającą była chwila, gdy z rąk tego ostatniego odebrał znak pułkowy major Rabiński, składając przysięgę, że bronić go będą do ostatniej kropli krwi.

W niejednem oku zabłysła łza, niejedno westchnienie uleciało ku niebu, nastrój był nadzwyczaj poważny i podniosły, zapisując tę chwilę niezatartemi głoskami w pamięci obecnych.

Uroczystość zakończyła się defiladą wojska. Pluton szwoleżerów wraz z nowopoświęconym sztandarem udał się następnie wśród dźwięków orkiestry na Rynek, na główną strażnicę.

Wieczorem odbyła się w refektarzu franciszkańskim uroczysta wieczornica na cześć delegatów drugiego pułku szwoleżerów.



W piątą rocznicę Rokitny: Defilada przed generalicyą i sztandarem.

Zakończenie roku szkolnego w korpusie kadetów w Łobzowie.

Podczas uroczystości narodowych, nadzwyczaj sympatyczne wrażenie budzi widok wychowanków Szkoły podchorążych w Łobzowie, maszerujących w karnym ordynku z fantazyą, jakiej nie powstydziłby się starzy żołnierze.

To nasza nadzieja i chluba, to przyszli wodzowie naszej dzielnej armii, mający ją wieść kiedyś do nowych zwycięstw, a sztandary polskie okryć świeżą zielenią wawrzynu.

Szkoła ta powstała w Łobzowie już za austryackich czasów, mieszcząc się w dawnym letnim pałacu Kazimierza Wielkiego. W wojskową wyższą szkołę realną zamieniona w ostatnich czasach, jako taka została przejętą przez zarząd wojskowy polski

czystem zakończeniu wziął udział i jenerał Jacyna, który jako zastępca Naczelnego Wodza przybył do Krakowa na obchód rokitniański.

W roku ubiegłym ukończyło Szkołę szesnastu wychowanków. Otrzymali świadectwa dojrzałości



W piątą rocznicę Rokitny Przysięga II. szwadronu Sokoła krakowskiego w r. 1914 na Błoniach przed wymarszem w pole z drem Kazimierzem Ostrowskim ówczesnym prezesem Sokoła konnego w Krakowie.

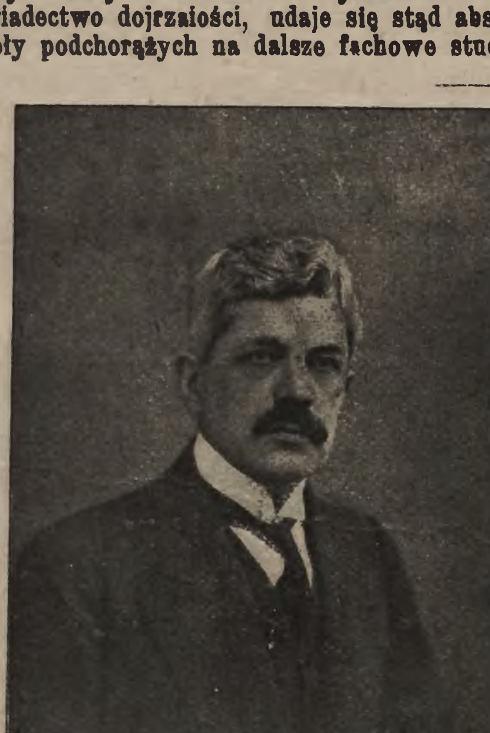
i prowadzoną jest dalej, ale już w innym duchu. Przyszłych polskich oficerów nie tylko się tutaj kształci, ale i wychowuje na dzielnych obywateli kraju, bo nonsensem jest austryacka metoda, iż żołnierz ma być chińskim murem odgrodzony od reszty swego społeczeństwa i nie wolno mu brać udziału w jego życiu.

Zyskawszy w Łobzowie wykształcenie ogólne i świadectwo dojrzałości, udaje się stąd absolwent Szkoły podchorążych na dalsze fachowe studya.

i w najbliższym czasie udają się do Szkoły artyleryjskiej w Poznaniu na dalsze studya.

Popołudniu odbył się w pięknym parku zakładowym pożegnalny festyn z nader urozmaiconym programem, w skład którego wchodziły zwłaszcza ćwiczenia gimnastyczne i zabawy rycerskie wychowanków. Publiczność, licznie zgromadzona, wyrażała się bardzo pochlebnie o staraniach i zabiegach grona nauczycielskiego i umiejętnego kierownictwa.

Podnoszą się głosy, że Szkoła podchorążych w Łobzowie ma być w najbliższych dniach zwiniętą, lub co najmniej przeniesioną gdzieindziej! Byłaby to dla Krakowa wielka strata i przed nią powinniśmy się bronić wszelkimi środkami.



Nowy polski generalny komisarz plebiscytowy na Warmię i Mazury: Dr Antoni Beaupré, prezes Syndykatu dziennikarzy krakowskich.

Zakończenie roku szkolnego 1920 odbyło się w Szkole podchorążych w Łobzowie w dniu 12 czerwca, w sposób bardzo uroczysty.

Rano, po nabożeństwie w kaplicy zakładowej, zebrała się młodzież w odświętnie przybranej sali, gdzie nastąpiło rozdanie świadectw. Przemawiali przy tej sposobności komendant Szkoły Hlawaty, porucznik Teslar i jeden z wychowanków. W uro-

Nowy polski generalny komisarz plebiscytowy na Warmię i Mazury.

Przed kilku dniami doniesiono z Warszawy o zamianowaniu prezesa krakowskiego Syndykatu dziennikarzy, redaktora dra A. Beaupré na przewodniczącego polskiego Komitetu plebiscytowego dla Warmii i Mazurów.

Nominacyę tę przyjąć należy z uznaniem i radością. Redaktor Beaupré znany jest szeroko ze swej pracy społecznej, nie należy też wątpić, że na nowem zaszczytnem, ale bardzo odpowiedzialnem stanowisku odda sprawie polskiej w tym zagrożonym odcinku poważne przysługi.

Czy jednak decyzya owa warszawskich czynników kierujących nie przyszła nieco zapóźno?... W komunikacie warszawskim czytamy bowiem, że red. Beaupré ma objąć agendy po niejakim p. Zielińskim.

Osoba p. Zielińskiego mało dotąd była znaną naszemu ogółowi, pewne światło rzucił nań dopiero artykuł warszawskiej „Myśli Niepodległej" z przed mniej więcej dwu tygodni. Podano tam treść znalezionego, po ustąpieniu Niemców z Warszawy, listu poufnego niemieckiego konsula generalnego w Bernie szwajcarskim do niejakiego v. Mutinsa.

W liście tym poleca konsul Mutinsowi p. Z. jadącego ze Szwajcaryi do Warszawy i prosi o wszelkie dlań ułatwienia. Był on kierownikiem założonego na pół roku przed wojną polskiego Biura prasowego w Rapperswillu, które silnie agitowało na rzecz państw centralnych. Z tego powodu miał p. Z. liczne nieprzyjemność ze strony szwajcarskiej Polonii. Konsul poleca go gorąco, jako człowieka szczerze Niemcom oddanego, i dodaje, że tenże ustnie złoży w Warszawie sprawozdanie o szwajcarskich stosunkach.

Tego rodzaju **list polecający** nie potrzebuje komentarzy!

I, o dziwo, dowiedzieliśmy się równocześnie z ogłoszeniem owego „tajnego" dokumentu, że p. Stanisław Zieliński pełni z ramienia Rządu polskiego funkcye generalnego sekretarza i faktycznego kierownika polskiego Komitetu plebiscytowego na Warmii i Mazurach.

Ciężka praca czeka zatem red. Beapre'go, który, obejmując spuściznę po poprzedniku, będzie musiał naprawić to, co tamten zepsuł.

Już to warszawskie sfery kierujące nie mają szczęścia w doborze pracowników. Otwierają im się oczy zwykle zapóźno!

Oby coś podobnego nie miało miejsca w tym wypadku.

Skon wybitnego działacza.

W zmarłym dnia 10 b. m. w Krakowie Jerzym Piwockim społeczeństwo straciło dobrego i zasłużonego obywatela.



W piątą rocznicę Rokitny: Pogrzeb rotmistrza Wąsowicza i ułanów II. szwadronu w Rarańczy, poległych w szarży pod Rokitną.



Zakończenie roku szkolnego w korpusie kadetów w Łobzowie: Goście uczestniczący w uroczystości zamknięcia roku szkolnego w Szkole podchorążych w Łobzowie.

Urodzony w r. 1853 w Tarnopolu, po ukończeniu Theresianum wszedł ś. p. Piwocki do służby politycznej. Umiejąc zawsze pogodzić obowiązki urzędnika austryackiego z uczuciami prawdziwego patryoty, już jako starosta w Białej zapisał się dobrze w pamięci ogółu przy założeniu tam pierwszej szkoły ludowej i polskiej czytelni. Szybko przebiegając stopnie karyery urzędniczej, powołany został do ministeryum spraw wewnętrznych, gdzie doszedł do stanowiska szefa sekcyi. Z natury rzeczy na tem stanowisku od jego opinii, a nawet decyzyi zależały liczne sprawy galicyjskie. Był zawsze gorliwym ich referentem i orędownikiem. Ale nie poprzestawał jedynie na spełnianiu tych obowiązków względem kraju. Należał do wszystkich polskich stowarzyszeń wiedeńskich, brał w życiu ich gorący udział.

Po uzyskaniu emerytury, natychmiast opuścił Wiedeń i powrócił do kraju, aby resztę lat poświęcić w całości obywatelskiej służbie publicznej. Wybrany wiceprezesem Towarzystwa Szkoły Ludowej, przez kilkanaście lat z rzędu aż do zgonu pełnił te obowiązki z wybitnym pożytkiem dla instytucyi. Z jego dobrej woli, rady i pracy korzystały liczne inne stowarzyszenia, jak Liga spolszczenia miast, Liga obrony czci, Związek i Klub prawników, Krakowski Komitet biskupi (K. B. K.) i t. d. Na początku wojny po utworzeniu Nacz. Komitetu Narodowego powierzono mu opiekę nad funduszami komitetu, co wymagało znacznego nakładu pracy i czasu.

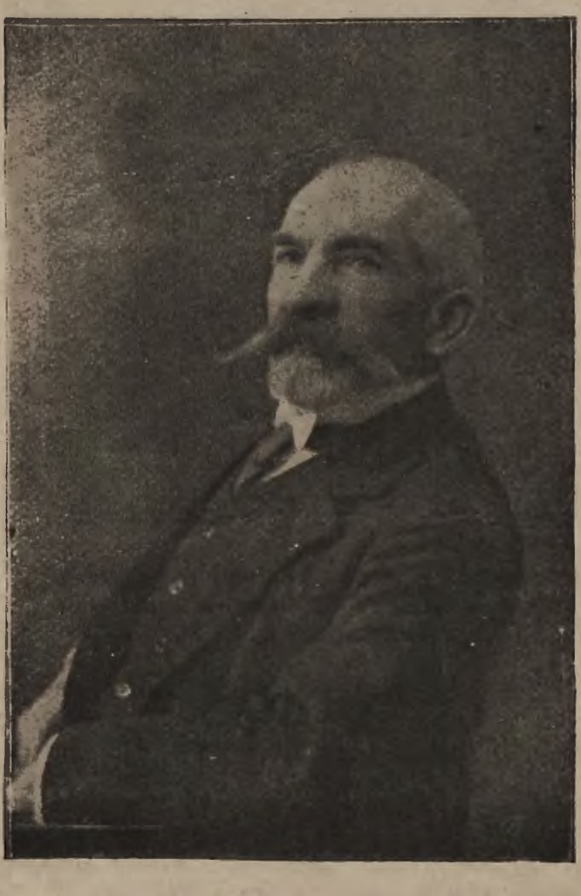
Nie cofnął się, bo mu świeciła myśl, że służy ojczyźnie, którą wielka zawierucha świata może z pęt wyswobodzić. I nie zawiódł się — doczekał się lepszych czasów, o wiele lepszych niż się można było spodziewać. Ale zanim te czasy nadeszły, w sędziwego pracownika uderzał cios za ciosem: zmarła mu żona, zmarł wnuk, oddało swe życie na placu boju dwóch jego ukochanych synów. Znosił te dopusty z poddaniem się woli Najwyższego. Po każdym tylko chwilowo przerywał swą pracę — ale siły opuszczały go z dniem każdym, a z ich brakiem zerwana została nić jego zasłużonego żywota.

Przyjaciele i znajomi żegnają w nim człowieka uczynnego, serdecznego pełnego tej prostoty, która jest cechą ludzi wyższych.

Literatura prawnicza polska traci w nim zasłużonego wydawcę wielkiego zbioru ustaw i rozporządzeń administracyjnych. Bez „Piwockiego" żaden prawnik galicyjski obejść się nie mógł.



Oktawa Bożego Ciała w Krakowie: Lajkonik ze swoim orszakiem na podwórzu klasztoru Zwierzynieckiego.



Skon wybitnego działacza: S. p. Jerzy Piwocki.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłóm. Marya Toczyska).

35

To zapewnienie podziałało łagodząco na naszą staruszkę, ale dodała jeszcze:

— A gdyby jednak ci niedobrzy ludzie zatrzymali cię dłużej, mój aniołku złoty?...

To zechce się pani zaopiekować moim biednym Fifi, pani Bourju.

Tymczasem Lapipé pobiegł odszukać ajentów czyniących poszukiwania w kamienicy.

— Niemamy go jeszcze panie inspektorze? — przywitał go jeden z nich.

— Którędyż on mógł się wydostać — mruknął Lapipé. — Wszystkie wyjścia są strzeżone.

— Mnie się zdaje panie inspektorze — zaśmiał się ajent — że nasz ptaszek wyfrunął tą drogą, którą chodzą koty.

Lapipé pobiegł natychmiast aż na szóste piętro i wychylił się przez maleńkie okienko mansardy.

— Musi być w każdym razie dyabelnie zręczny — zaklął pod nosem. — Dach jest bardzo spadzisty, można sobie doskonale kark skręcić, schodząc tą nadpowietrzną drogą! Ale może masz słuszność mój przyjacielu. Jednakże nie będziemy ryzykować życia naszych ludzi, posyłając ich na poszukiwania w tych piekielnych ciemnościach. Jutro z brzaskiem dnia, pompierzy przepatrzą dach. Tymczasem czuwajcie noc całą, aby nie mógł powrócić tą drogą, którą uciekł!

Wydawszy jeszcze ostatnie rozkazy, Lapipé kazał przywołać dorożkę i udał się bezzwłocznie do dyrekcyi policyi.

Paweł de Vareillés rzeczywiście uciekł był przez dachy. Świeżość nocy, uspokoiła rozdrażnienie w jakiem się znajdował.

— Zagalopowałem się jednak zadaleko — myślał, znalazłszy się na ulicy wiodącej do jego mieszkania. — Pomimo woli wpadłem w konflikt z policyą. No, cóż robić! Mam jednak nadzieję, że ten poczciwy Lapipé wybaczy mi swoją porażkę, o ile nie stłukł się bardzo, skacząc z okna. Teraz muszę za wszelką cenę wydrzeć z jego rąk tę biedną Zanettę... a potem zniknę znowu ze świata, aż do chwili, w której dzięki wysiłkom mojego adwokata Paweł de Vareillés oficer marynarki, zasądzony sądem wojennym, będzie mógł ukazać się znowu z głową podniesioną i zrehabilitowany!

W sądzie.

Pan Rodauet, sędzia, któremu powierzono sprawę zamordowania kapitana Fraskopelly, był w wielkim kłopocie.

Z niechęcią i z widocznym brakiem zainteresowania przystąpił on do badania młodej dziewczyny, oskarżonej przez inspektora Lapipé o współudział w zbrodni. Na wszystkie bowiem pytania, Zanetta płacząc odpowiadała, że nie wie o niczem.

Szczerość oskarżonej była widoczna. Pan Rodauet zapytywał się więc, jakim sposobem ta cicha, potulna robotnica mogła być wmieszaną do tego dramatu, niezrozumiałego dla całego Paryża? Był co prawda list z groźbą znaleziony w portfelu zamordowanego; ale czy morderca, który był świadkiem lekkomyślnego zakładu kapitana, nie wysłał owego listu rozmyślnie, aby zmylić przypuszczenie co do prawdziwego powodu zbrodni?

Im dłużej sędzia zastanawiał się nad całą tą sprawą, tem częściej dochodził do przekonania, że przypuszczenia i oskarżenie inspektora mogą być mylne. Bo pomimo pewnej analogii łączącej rzeczywiście cały ten szereg tajemniczych zbrodni, nie można było bez rzetelnego dowodu, oskarżać o nie owego nieznajomego, tak zręcznego nieprawdopodobnie, że dotąd bezpiecznie ukrywał się przed pościgami policyi!

Więc pan Rodauet powoli zaczął tracić wiarę w dobry ślad przedstawiony mu przez gorliwego Lapipé'a. I nie wiedząc co postanowić właściwie, wahając się, ciągle jeszcze niezdecydowany i niepewny, sędzia w ostatniej chwili, kiedy już miał podpisać akt uwalniający Zanettę, jeszcze raz rozkazał ją przywołać do przesłuchania.

Zanetta, odkąd przebywać musiała w murach więzienia Św. Łazarza, przechodziła straszne chwile. Przybita wstydem, rozpaczą pomimo pocieszeń dozorcy, litującego się nad nią, nie mogła zrozumieć, w czem właściwie była winną, poddawać się zaczęła ostatecznemu zniechęceniu i apatyi. Noce całe spędzała bezsennie, płacząc i jęcząc, wierząc już, że jest zgubiona na zawsze i że nie zdoła przekonać okrutnych prześladowców o swej niewinności.



Pan Rodauet, sędzia, był w wielkim kłopocie.

Dnia tego sędzia Rodauet w oczekiwaniu zawezwanej Zanetty, przeglądał jeszcze raz akta tyczące się sprawy morderstwa kapitana Fraskopelly'ego i dyktował swojemu pisarzowi skrócony wyciąg śledztwa, dokonanego przez inspektora Lapipé'a. Pan Rodauet, który uchodził za dzielnego urzędnika, był po części maniakiem w pewnym kierunku.

Tą manią był właśnie jego pisarz. Uważał go za opieszałego i leniwego człowieka i denerwował się codziennie przy wspólnej z nim pracy, nie mogąc go nakłonić do szybszego poruszania piórem.

I teraz, przerywał co chwila dyktat, żaląc się głośno na niedołęstwo i brak inteligencyi, nieszczęśliwego pisarza.

— No, dalej, panie Derlevel — przynaglał go — niechże pan pisze... ma pan już ostatnie słowo?... nie?... jeszcze nie?... jakże pan chce, abym w takich warunkach szedł należycie za tokiem moich myśli? Błagam pana, pospiesz się pan trochę.

Stary pisarz, przyzwyczajony do ciągłych gderań sędziego, nie zwracał już na nie wcale uwagi.

Chwilowe milczenie przerwało pukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — mruknął z niezadowoleniem sędzia.

Na progu stanął woźny z dyrekcyi policyi.

— Pan prokurator pragnie mówić z panem sędzią.

— Dobrze. Idę tam zaraz — odrzekł powstając pan Rodauet.

Po jego wyjściu pisarz odetchnął z ulgą i zapalił papierosa. Lecz znowu drzwi się otworzyły i wszedł adwokat.

— Pana Rodauet niema?

— Nie, panie mecenasie — zerwał się pospiesznie pisarz — ale powróci za chwilę. Poszedł do pana prokuratora. Może zechce pan poczekać.

— Niemam czasu... zresztą przyszedłem tylko po niewielką informacyę.

— Może mógłbym służyć panu mecenasowi?...

— Jeżeli pan taki grzeczny... tak się spieszę... Czy pan Rodauet niema w rękach aktów sprawy Silvarat?

— Nie przypominam sobie tego nazwiska... ale popatrzę. Nie! niema nic! — dodał po chwili przerzuciwszy stos papierów. — Ale zaraz, proszę poczekać jeszcze, zobaczę w tamtej szafce.

Ale podczas kiedy pisarz odwrócony plecami zajęty był w drugim końcu pokoju, adwokat zbliżył się szybko do stołu. Pomimo pozornego spokoju, grube krople potu wystąpiły nagle na jego czole i ręce jego drżały nerwowo.

Był to Paweł de Vareillés.

Wiedział, że do dnia rehabilitacyi swojej, musiał kryć się przed oczami ludzi. Policya szukała go już i najlżejsza nieostrożność mogła go popchnąć w jej ręce. Był przekonany, że wówczas bez przesłuchania nawet odeślą go mogą na zawsze do ciężkich robót w koloniach. Paweł zdawał sobie doskonale z tego sprawę, jednakże było jeszcze w nim coś silniejszego od wszystkiego. Chęć ujrzenia Zanetty.

Nie starał się już ukrywać przed sobą, że kochał ją całą duszą i że jedynem jego pragnieniem było uczynić z niej swoją żonę, wywiązując się w ten sposób podwójnie, z długu zaciągniętego u jej ojca. Ale sędzia zwlekał zanadto z przywróceniem jej wolności. Uznał więc za stosowne wmieszać się w to i samemu młodą dziewczynę uwolnić z więzienia zanim cała ta sprawa dostatecznie wyjaśnioną na jej korzyść zostanie.

Ażeby zamiar swój gorący doprowadzić do rezultatu, Paweł włożył na siebie czarne ubranie noszone zazwyczaj przez adwokatów podczas rozpraw sądowych i czekał sposobności aby z nią móc pomówić, kiedy zawezwaną zostanie przez pana Rodauet do przesłuchania. Podstęp udał mu się doskonale. Zdołał usunąć sędziego z kancelaryi pod pretekstem zmyślonym i teraz będąc panem sytuacyi zamierzał zrealizować swój trudny zamiar.

Upewniwszy się bystrym rzutem oka, że nikt go nie śledzi, szybko wyciągnął rękę w stronę biurka. Na biurku leżał stos podpisanych już uwolnień i zawezwań do sądu. Paweł pochwycił jeden z nich i wsunął zręcznie do wielkiego skórzanego portfelu, który miał ze sobą. W tej samej chwili, stary pisarz odwrócił się i rzekł:

— I tutaj niema nic panie mecenasie. A przecież dobrze szukałem.

Paweł wolnym krokiem odszedł od biurka i wyrzekł lekko podrażnionym głosem:

— Oh! jaka szkoda! Widocznie zajść musiała jakaś pomyłka... wrócę jeszcze po skończonej rozprawie.

— Tak będzie najlepiej — rzekł pisarz kłaniając się uniżenie.

Odprowadził go do drzwi, i powrócił na swoje krzesło monologując żywo:

— Ciekawa rzecz, że też ciągle się tu widzi jakieś nowe twarze. Tego adwokata widzę tu poraz pierwszy! Mnożą się jak grzyby po deszczu. Widocznie to dobry kawałek chleba! Nie tak jak moje zajęcie! Pracuję lat tyle i jestem tylko pisarzem nędznie płatnym. (Ciąg dalszy nastąpi).

BERBERYJSKIE KOZY

(Tłómaczenie z angielskiego).

17

Patrzał uważnie na twarz Romui'ego nad rzeką. Była to twarz męska, to pewna. A jednak ten człowiek spał co noc pozwalając żonie czynić co zechce, i opuszczał ją każdego dnia. Może nie dbał o to, co się stanie.

Myśl jego zwróciła się do Lady Wyverne i tutaj spahis czuł się na pewniejszym gruncie. Miał instynkt do kobiet. Nie rozumiał zachodnich mężczyzn, lecz śmiałby się serdecznie, gdyby mu kto powiedział, że może zostać wyprowadzonym w pole przez kobietę, że kobieta może się nim bawić, lub być księgą zamkniętą przed jego oczami. Na chwilę porzucił Anglika i skoncentrował swe myśli na wiewiórce leśnej, na cudnej różyczce.

Przypuściwszy, że sir Claude nie wystąpi czynnie, nie wywiezie żony do Beni-Mora, co ona uczyni?

Benszaalal pogrążył się w głębokiej zadumie, zapomniał o kawie, nie zapalił nowego papierosa. W tej chwili przed otwartemi drzwiami ukazała się dziwaczna postać w jaskrawo zielonej szacie, w zielonym w czerwone pasy turbanie. Był to szalony morabut. Parę razy przeszedł przed drzwiami kawiarni, niespostrzeżony przez Benszaalala. Poczem wszedł do altany, i stał cicho zaglądając do mrocznego pokoju. Spahis nie podniósł oczu. Marabut patrzał na niego, zawahał się, odstąpił nieco, wreszcie wsunął się do kawiarni i siadł na podłodze obok spahisa, który go w końcu spostrzegł.

— Przynieś kawy, Achmed — rzekł Benszaalal do służącego.

Kiedy mu ją przyniesiono, podał ją marabutowi, który zaczął pić ukradkiem, jakby się obawiał, że mu zabronią. Spahis skręcił papierosa i włożył go w rękę morabuta, skręcił drugiego dla siebie, i znowu popadł w zadumę.

Waryat palił powoli, patrząc z dziecinnem zdziwieniem na obłoczki dymu. Benszaalal zaczął go obserwować. Pamiętał tego człowieka, kiedy był bogaty i szanowany. Pojechał do Beni-Mora i to go zgubiło. W zakurzonej ulicy tancerek spotkał się ze swym losem pod postacią dziewczyny, Ajeszy.

Co za dziwna rzecz zwaryować dla kobiety! Dojść do tego stanu! Myśl Benszaalala pobiegła za kobietami, za zniszczeniem, którego stają się przyczyną i zapytywał się, czy zostanie kiedyś wynagrodzony za swą miłość dla nich w taki sposób, w jaki ten człowiek został nagrodzony. Pod wpływem widoku tej biednej istoty przyszła mu nawet chwilowa ochota dosiąść konia, spiąć go ostrogami i popędzić w pustynię nie oglądając się za siebie, nie pozwalając sobie już nigdy myśleć o Bomni-kobiecie z wąwozu! Należał do pustyni, a pustynia do niego! Stara kobieta z gospody powiedziała prawdę, arab się nie zmienia. Wróć go piaskom, a pokusa zachodu odpadnie z niego. Zmusi go, zapomni o nim. Pije ognisty, czerwony napój, zjada „kus-kus" palcami, pali „keefi". I znikł sen o obcych krajach, spalił się w słońcu, w jego słońcu, które płonie nad wielkim, pustym światem Allaha i jego Proroka.

Morabut wstał, rzucił chytre, długie spojrzenie na spahisa i skradając się wyszedł z kawiarni.

Benszaalal zapytywał się, dlaczego biedny waryat wszedł do kawiarni, on, który nigdy pod dachem nie przebywał. Co go pociągnęło? Okazał rodzaj sympatyi, chęć towarzystwa. Czy myśl o kobiecie, która go opanowała spotkało się z myślą Benszaalala? Przypomniał sobie jak spotkawszy Lady Wyverne stanął i przypatrywał się jej, jakby była Ajeszą.

Co tam! Biedak był waryatem! Nie warto myśleć o nim!

Zachód się zbliżał, kiedy Benszaalal wstał, zapłacił za kawę i wyszedł na biały gościniec.

Nie wiedział, że Romui wyruszył znowu na polowanie w góry. Achmed mu o tem nie wspomniał, lecz na drodze spotkał sennego chłopca z hotelu i ten mu udzielił nowin.

— Wyszli na całą noc, Benszaalal Hamdan ben Mohammed — mówił chłopiec. — Romui zabrał ze sobą namiot do spania. Poszli w stronę Tell, w góry.

Spahis strzelał w milczeniu z wielką uwagą. Wiadomość zdziwiła go, lecz tego nie okazał.

— Czy Achmed jest z cudzoziemcem, z anglikiem? — papytał.

— Achmed jest z nim.

Benszaalal poszedł zwolna drogą ku bramie Sahary.

A więc anglik poszedł znowu i zostawił żonę samą! Zdumienie jego stało się jeszcze większe. Idąc rozmyślał o tem. Nie przyszło mu na myśl, że ten wyjazd mógł być pułapką, nie mógł się pozbyć arabskiego zapatrywania się na rzeczy, a dla araba byłoby to wprost niemożliwem. Arab musiałby być pomszczony stanowczo, strasznie i szybko.

Doszedł po przekonania, że Romui nie wie jeszcze o niczem. Lecz Achmed mu powie z pewnością.

Spahis był teraz u wejścia wąwozu przy skale, na której siedział, kiedy sir Claude z nim rozmawiał. Obok niej siedział chłopiec z fujarką przy ustach, grając zawsze tę samą melodyę. Benszaalal odwrócił głowę i zobaczył skradającego się za nim morabuta. Stanął, waryat stanął także, wyglądał niespokojny, lecz nie uciekał. Spahis zaczął na seryo myśleć, czego ten biedak od niego chciał. Jakaś dziwna myśl musiała zaświtać w jego zamąconym umyśle. Czy powziął do niego jakieś dziwne upodobanie?

Benszaalal wyciągnął rękę i zawołał na niego, lecz marabut gładził tylko swą jasną brodę, trzymając głowę pochyloną na bok i patrzał w dal. Spahis dał za wygraną i zaczął iść. Marabut podążył za nim aż do wyjścia wąwozu, tam znowu stanął nie spuszczając zeń oka. Kiedy młody oficer znikł w wąwozie, waryat wahał się chwilę, przestępując z nogi na nogę, poczem ukradkiem jak zwierzę, szukające swej nory, opuścił drogę i skrył się pomiędzy skałami pod górą, z której właśnie w tym czasie sir Claude patrzał na pustynię.

XIII.

Zbliżając się do hotelu spahis skierował wszystkie swe myśli na kobietę, która w nim mieszkała, i wewnętrzny ogień na chwilę stłumiony ogarnął go nowym płomieniem.

W dziwny sposób rozstał się z Lady Wyverne nad rzeką. Mówił do niej rozkazującym tonem, uznając konieczność przywołania jej do przytomności po histerycznym strachu, który ją opanował. Ona tego wówczas nie odczuła i odeszła spokojnie pomimo bojaźni tego, co ją może spotkać w hotelu.

Ale od tej pory dużo czasu upłynęło i usposobienie jej mogło się zmienić. Strach, który ją ogarnął, musiał ustąpić z wyjazdem męża na nową wycieczkę, zostawiając w sercu miejsce na inne uczucia, a te uczucia mogły być dla niego nieprzyjazne.

Na tę myśl powstawała w duszy spahisa gwałtowna chęć zwalczenia wszelkich trudności. Zapomniał o sir Claude, pozostawiając go polowaniu na berberyjskie kozy co było widocznie jedyną rzeczą, o którą dbał. Inne polowanie zajmowało Benszaalala, tu była kobieta do zdobycia, i była już prawie zdobytą. Czy miałaby ujść przed nim z powodu braku zręczności tego głupca Achmeda? Na tę myśl jego gorąca krew zawrzała.

Wiedział, że wszelkie jego starania widzenia się z nią teraz byłyby bezużyteczne, zamknął się więc w swym pokoju czekając na obiad. Zeszedł do sali jadalnej majestatyczny, uperfumowany, w czerwonym kaftanie, szerokich białych spodniach ze swemi podłużnemi oczami, błyszczącemi pod śnieżnym turbanem.

W jadalni zastał tylko nowo przybyłą młodą parę małżeńską, francuskiego malarza z żoną, którzy mu się przypatrywali z zajęciem. Siadł przy stoliku w miejscu, z którego mógłby się przypatrywać Lady Wyverne, gdyby przyszła.

Może nie przyjdzie wcale?

Ledwo tę myśl sformułował, usłyszał lekki szelest i zobaczył ją wchodzącą z książką w ręku. Zwykle nosiła białą suknię i czarny kapelusz, obecnie była cała czarno ubrana. Składając jej lekki ukłon jakby nieznajomej osobie, zapytywał się w duchu, czy ta zmiana miała jakieś znaczenie. Raz po raz spoglądał na nią, starając się czytać w jej twarzy, pomyślał, że wygląda chłodniej, sztywniej niż zwykle, nawet nieco starzej. Lecz mogło mu się tylko tak zdawać po wszystkiem co zaszło.

Nie doczekała końca obiadu i wyszła. Słyszał szelest jej sukni kiedy wchodziła na schody.

Opóźniał się z opuszczeniem sali pijąc zwolna kawę, malarz z żoną odeszli, pozostał sam. Rozmyślał nad tem, co uczyni Lady Wyverne, czy się zamknie w swym pokoju i pójdzie do łóżka czy też wyjdzie na werandę. Powinna mu dać sposobność pomówienia z sobą, a jeśli nie, sam się o to postara. Czekał aż cały personal hotelowy zasiądzie do wieczerzy. Wtedy dopiero wyszedł na dziedziniec i stanął na tem samem miejscu, co pierwszego wieczoru pod drzewami. Nie podniósł zaraz głowy, lecz wyjął srebrną papierośnicę i zaczął starannie skręcać papieros. Zapaliwszy go spojrzał na werandę.

Nie było jej tam, lecz zobaczył światło przez otwarte okno, a następnie jej postać, jakby czarny cień poruszający się w pokoju. Co czyniła? Czekał spokojnie. Nie widział jej już. Skończył palić i zaczął śpiewać, raczej zawodzić dziwną wschodnią pieśń, którą powitał Lady Wyverne pierwej zanim do niej przemówił. Była to pieśń o kaidzie, który kochał tancerkę i dał jej wiele podarków, złotych i srebrnych branzolet, amuletów, haszyszu. Ile razy tańczyła, patrzał na nią, wziął wreszcie „derbuka" i sam jej grał do tańca w obecności całego miasta. A kiedy skończyli, podał jej „derbuka", żeby ją zawiesiła w swym pokoiku jako znak swej władzy.

Pieśń była długa, lecz wreszcie się skończyła.

Spahis patrzał na światło, wypalił znowu papierosa, lecz ona nie przychodziła. Zaczął śpiewać „chanson des vacanies" dzieci Libansu; potem śpiewał o wielkim Moabicie, którego kochanka zażądała głowy Alego, zięcia Proroka, jako ślubnego podarku. Moabita szablą zamordował Alego w meczecie i od tej pory moabici są nienawidzeni przez wszystkie plemiona arabskie.

Doszedłszy do ostatniej zwrotki, zwrotki nienawiści, Benszaalal podniósł głos.

W ciszy, która nastąpiła, słyszał szum rzeki, przepływającej przez wąwóz. Ogień miał w żyłach, w skroniach tętniało. Nieruchome drzewa i biały gościniec rozdrażniały go, czarne skały doprowadzały do wściekłości; zdawało mu się, że wszystko się z niego naśmiewa.

Na teraz nic nie mógł uczynić, musiał zaczekać, aż służba położy się spać. Jeszcze godzina, a jeżeli ona nie przyjdzie do niego, on pójdzie do niej. Wyszedł na białą drogę i zaczął się przechadzać tam i napowrót. Nad jego głową ciemny szafir nieba począł się rozjaśniać srebrem.

Na pewno przyjdzie z księżycem.

Lady Wyverne siedziała w pokoju na fotelu, który odsunęła od okna. Zaczęła była składać swe rzeczy do kufra. Nie mogła wytrzymać bezczynnie, a to zajęcie utwierdzało ją w powziętem postanowieniu niewidzenia się więcej z Benszaalem. Bojaźń, którą uczuła, kryjąc się w fałdach płaszcza spahisa, wybiła z jej głowy kaprys, któremu dała się opanować. Gdyż miała tylko kaprys dla spahisa, powtarzała sobie raz po raz. Już nigdy więcej nie narazi swej godności, już skończył się ten „żarcik" na pustyni i na szczęście bez złych skutków, gdyż Crumpet nie mógł nic wiedzieć. Jego niespodziewany powrót musiał być rzeczywiście spowodowany brakiem wygody w gospodzie. Jedynie skutkiem poczucia własnej winy wyobraziła sobie, że jest względem niej inny. W najgorszym razie, jeżeli miał nawet jakieś podejrzenie, to bardzo nieokreślone. Przyszło jej na myśl, że Achmed mógł się wygadać, ale dlaczego miałby to uczynić? Domyślała się, że spahis go opłacał. Wiedziała, że Achmed był dzisiaj w wiosce, gdzie musiał się widzieć z Benszaalalem, który niewątpliwie wszystko „uregulował". Porzuciła więc wszelką obawę, mówiąc sobie, że szczęśliwie się skończyło i postanowiła od tej pory nie wdawać się w żadne ciekawości Afryki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Niniejsza kronika zostaje pod znakiem litery „p“. Wszystko, o czem czytaliśmy w innych pismach codziennych przez cały tydzień, a przynajmniej lwia część, zaczynała się od litery „p“. Wystarczy wspomnieć: pogodę i procesyę, politykę wewnętrzną i zewnętrzną, podróż ministra Patka, przesilenie gabinetowe, program gospodarczy na r. 1920—21, „Piastowców“, pożyczkę przymusową, pogrom czerwonej armii, Petlurę, plebiscyt, pertraktacye Benesza i Krassina w Londynie i Paryżu, propinacyę i tyle innych rzeczy, których wyliczyć niepodobna, gdyż mogłoby łatwo zabraknąć w kaszcie drukarskiej czcionek z literą „p“, co nie jest wykluczone, jako że i pech od „p“ się zaczyna, a kronikarzowi stale w wędrówce życiowej towarzyszy.

Kronika z ubiegłego tygodnia może zatem służyć za wzór kaligraficzny przy ubieganiu się o doktorat obojga abecadła.

Na omówienie wszystkich wyżej wymienionych kwestyi szczupłe ramy kroniki nie pozwalają, poruszymy zatem tylko niektóre, zaczynając od pogody, by w ten sposób nawiązać do kronikarskich wywodów z ubiegłego tygodnia.

Kuryer doniósł, że deszcz w Boże Ciało to zapowiedź mokrej jedenastodniówki, kronikarz, stwierdzając, że kapie jeszcze nawet i w piątek po Bożem Ciele (myślał że to resztki...), zwrócił uwagę, że w dniu 8 czerwca obchodzi swe imieniny św. Medard, że zatem nie jest wskazanem, aby dalej lało. Tymczasem kronikarz swoje, a deszcz swoje. Kronikarz chciał pogody, a deszcz sobie nic z tego nie robiąc, nie lał wprawdzie, lecz padał lub kapał, nie zapominając naturalnie o imieninach św. Medarda. Wtedy był całkiem wystarczający, aby przemoczyć do skóry każdego, kto nie ma parasola.

Możemy się zatem spodziewać deszczowej pory, na co wskazywało zachowanie się much w ostatnich czasach. Jakgdyby ją przeczuwając, były bardzo niespokojne i wyprawiały rozmaite figle na kronikarskiej łysinie. Że zaś następstwem deszczów bywają zwykle powodzie, a zbliżanie się ich fali też nam pisma codzienne sygnalizowały, możemy się spodziewać, że się jej prędzej doczekamy, niż również zbliżającej się „fali spadku cen“. Wszędzie spadają, tylko u nas jakoś spaść nie mogą! Prasa nawołuje: „Wstrzymajcie się z zakupami!... Wszystko musi potanieć!...“ — tymczasem dzień płynie za dniem, tydzień za tygodniem, barometer idzie na dół, ceny w górę, choć byłoby lepiej, aby się rzecz miała odwrotnie.

Słyszeć się tam ktoś wyraził, że trudno będzie doczekać się zniżki cen, zwłaszcza, jeżeli się wstrzymamy od wszelakich zakupów. Nie mając zapasów, pomrzemy z głodu, nie będzie zatem zniżać cen dla kogo, ale też nie będzie miał i kto, gdyż kupcy i przemysłowcy, zwłaszcza ci, którzy mają do czynienia z artykułami spożywczymi, bojąc się, by nie uległy zepsuciu, sami je zjedzą, co im naturalnie nie wyjdzie na zdrowie.

Wracajmy jednak do pogody.

Praktyczna meteorologia, która okazuje się nieraz pewniejszą od teoretycznej, zatem „kalendarzowa“, nie „książkowa“, powiada, że deszcz w dzień Medarda, to pewny znak czterdziestu, ale — w tym kierunku zdania są podzielone — jedni twierdzą, że dni deszczu, drudzy, że poszczególnych deszczów.

To drugie wytłumaczenie byłoby dla nas korzystniejszem, od dnia bowiem krytycznego zanotował kronikarz dotąd, w różnej porze dnia i nocy, dwadzieścia i dwie porcye deszczu, pozostawałoby zatem „do odrobienia“ jeszcze tylko ośmnaście, a te przy obecnym systemie opadowym mogą łatwo wykapać w ciągu jednej doby.

Gorzej byłoby, gdyby racyę miał obóz przeciwny. Okres deszczowy przeciągnąłby się do lipca, a w dniu 10. tegoż miesiąca obchodzimy uroczystość św. Amalii i Siedmiu Braci śpiących (podobno patronów naszej Rady miejskiej...), z których imieninami związaną jest przepowiednia dalszego ciągu deszczu, na razie przez dni siedm.

Perspektywa zatem niezbyt nęcąca.

W ścisłym związku z pogodą, propinacya. Jeżeli w niedzielę lub święto deszcz padał, szło się na piwko lub lampkę miodu albo wina, aby się godnie w gronie przyjaciół rozweselić i pogadać o tem i owem. Obecnie nici z tego. Możesz pić herbaciany lub kawowy surogat z sacharyną, co, jak stwierdziły wiedeńskie powagi naukowe, szkodzi zdrowiu. A każdy dba o zdrowie, pomny słów poety, który śpiewał: „Szanuj zdrowie należycie, bo, jak umrzesz, stracisz życie!...“ Umierać zaś, zwłaszcza dziś, gdy nie tylko jazda koleją, ale i na tamten świat taka droga, nikt nie ma ochoty.

Restauratorzy, co w poprzednim tygodniu kronikarz powiedział, mają w niedzielę i święta zamiar zupełnie zamknąć swe lokale, gdyż, jak twierdzą, nie opłaca się im podawanie potraw, jeżeli się nie może równocześnie szynkować alkoholu.

Owa antialkoholiczna ustawa dała też sposobność wielu przedsiębiorstwom gospodnio-szynkarskim do rozwinięcia brzydkiej konkurencyi.

Stwierdzono to w ubiegłym tygodniu, w niedzielę. W niektórych lokalach nie można było dostać nawet piwa, w innych je podawano, były nawet takie, gdzie przed gośćmi postawiono ostentacyjnie całą flachę wódki.

Co do wódeczności, to wykluczone jest, aby mogła zawierać tylko dwa i pół procent alkoholu, było to zatem pogwałcenie natury, co się natomiast tyczy piwa, ci, co je sprzedawali, powiedzieli, że jest „ustawowo cienkie“, choć pobierają je z tych samych źródeł, co i ci, którzy do rozporządzenia się zastosowali.

Na takiem gwałceniu lub obchodzeniu ustawy wychodzi się nie najgorzej, bo i zyskuje się gości (po całym Krakowie mówiono już w poniedziałek, gdzie się można napić w niedzielę, a gdzie nie...), no i można liczyć wyższe ceny „za strach“ i na poczet ewentualnego zapłacenia kary w razie przyłapania, w tym wypadku nie na „gorącym uczynku“, lecz na „mokrym“, o ile przekracza dwa i pół procent zawartości alkoholu.

Nie żal mi zatem gabinetu, który się obecnie rozsypał. Dobrze im tak, skoro pozwolili na wniesienie w Sejmie ustawy, która nam tyle kłopotu narobiła. Spełniło się przysłowie: „Gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła“..., bo niewiasty w tem umoczyły swe rączki, że w niedzielę i święta człek szanujący ustawę chodzić musi „pragnący“, niedługo zaś i „jako lew ryczący, nie wiedzący, kogoby pożarł...“

Spyta kto może co gabinetowi pana Skulskiego zaszkodziło?... Odpowiedź łatwa: „To, co i nam dolega! Aprowizacya“.

Rzecz tak się miała. W gabinetowej aptece zaczęto się zastanawiać nad wynalezieniem środka, który mógłby zaradzić aprowizacyjnej mizeryi. Uznano, że jest tylko jeden: sekwestr ziemiopłodów na okres gospodarczy 1920—21. Innego zdania była sejmowa Komisya aprowizacyjna, która większością głosów oświadczyła się za wolnym handlem. Sprawa byłaby w najbliższym czasie przyszła przed forum sejmowe, w razie zaś nieprzyjęcia rządowego projektu byłby padł ofiarą minister Śliwiński, co było prawie pewne, jako iż współczesny Piast, Witos, oświadczył, że na sekwestr nie pozwoli.

Tymczasem pękła bomba wcześniej i nie z tej strony, z której się spodziewano. Minister Patek, który jest od tego, aby bawił za granicą, wyjechał nagle, a że ma dwu „Wicków“, zastępstwo na czas nieobecności jego powierzył prezydent Dąbrowskiemu, wychodząc z zasady, że obaj są „równowartościowi“, a że Dąbski już Patka zastępował, teraz kolej na Dąbrowskiego. Niech i on ma frajdę!

To jednak oburzyło p. Dąbskiego, starszego rangą o cały tydzień. Zgłosił dymisyę i pobiegł ze skargą do Witosa. Ten wysłuchał, pokiwał głową, zawołał do siebie Bardla i Kędziora i rozkazał: „Chopcy!... Zaroz mi sie podać do demisyje!...“

I tak się stało. Pan Patek, który nie chciał patrzeć na polityczną śmierć swego kolegi od aprowizacyi, niedaleko ujechał, gdy doszła go wieść, że już i on nie jest ministrem, bo cały gabinet podał się do dymisyi.

Kto otrzyma mandat utworzenia nowego, jaka będzie i czy wogóle będzie większość rządowa, czy socyaliści wezmą udział w rządzie (a taką niektórzy z nich mają do tego ochotę!...), czy się znajdzie ów nieszczęśliwy „klucz partyjny“, rozwiązujący różne kwestye (a który się gdzieś zapodział), o tem może być mowa dopiero w przyszłym tygodniu. Na razie w Warszawie radzą. To jedne jest pewne, że kronikarz nie przyjmie ani mandatu utworzenia nowego gabinetu, ani nie wstąpi do żadnego, choćby go zaprosił nawet sam Witos i obiecywał taką pensyę, jaką mieć pragną warszawscy zecerzy.

Przez tydzień może stać się wiele. Może powstać nowy gabinet i będzie mieć dość czasu do upadku. Kronikarz woli to omawiać *ex post*. Jest to i bezpieczniejsze i wygodniejsze.

Po panu Grabskim, ministrze skarbu, zostanie nam przynajmniej pamiątka, projekt trzyprocentowej pożyczki przymusowej, który wniósł już na Radzie ministrów. Regulował nasze finanse, jakoś mu się to nie udało. Słusznie powiada moja znajoma z „czarnej giełdy“ (z pod kościoła św. Wojciecha), pani Hirschsprungowa:

— Panie godny!... U państwa, to niema głowy do takich interesów!... Niech tylko zrobią ministrem skarbu kegoś od naszej wiary, a przekona się pan, że wszystko pójdzie jak z płatka!... Do tego trzeba mieć *kepele*...

Pomyślałem sobie, że może ma i racyę, ale to już odemnie nie zależy, zwłaszcza, że chciałbym jeszcze poświęcić trochę miejsca i polityce zagranicznej (na razie zastępuję p. Patka...), a choćby tylko odwiedzinom p. Benesza w Paryżu i Londynie.

Jako minister „zagraniczny“, wybrał się i on za granicę, aby przekonać Koalicyę, że Śląsk jest czeski, że Czesi węgli potrzebują i, o ile będą uwzględnione ich żądania, zgadzają się na to, co Koalicya postanowi. Przy tej sposobności opowiedział, jak przyjaźnie usposobieni są Czesi dla Polaków, jak ci jednak lekceważą sobie ich umizgi i stale odtrącają wyciągniętą ku sobie dłoń czeską. Niestety, w Paryżu jeszcze Czechów nie znają i nie wiedzą, co znaczy „wyciągnięta dłoń czeska“, i z jakiem jest to połączone niebezpieczeństwem dla tego, w którego stronę się ona kieruje.

Coś słychać, że na Śląsku Cieszyńskim nie będzie plebiscytu, lecz sprawa ta zostanie załatwioną polubownie w Paryżu. Czy my na tem dobrze wyjdziemy, to pytanie, na które dziś odpowiedź trudna. Sympatye Koalicyi dla Czechów są znane, długi pobyt Benesza za granicą daje też wiele do myślenia i budzi obawy. Porozumiewał się on i z Krasinem w Londynie, a wiadomo, że Czesi coraz bardziej „czerwienieją“... Nie w imię sprawy śląskiej, to w imię haseł bolszewickich pójdą na Polskę.

Naturalnie, godząc się na to, aby Koalicya rozstrzygnęła sprawę Śląska Cieszyńskiego, musi mieć już jakieś realne zapewnienie (bo słowom samym dziś się wierzyć nie powinno...), z drugiej zaś strony musi być pewny, że plebiscyt wypadłby jak najgorzej dla Czechów. A tak, w najgorszym wypadku da się coś jeszcze wytargować, boć to była wojna kupiecka, a interesy handlowe stoją dziś na pierwszem miejscu. Z Czechami zaś łączy więcej handlowych związków Koalicyę, niż z Polską, więc im zginąć, raczej ponieść stratę — nie pozwoli.

Wobec tego odpadnie potrzeba wysłania przez Ligę do Cieszyna Komisyi, naturalnie tak „neutralnej“, jak i plebiscytowa, celem zbadania krzywd, jakie się dzieją Czechom na Śląsku i ich zupełnie poprawnego zachowania się wobec „zaborczości“ Polski.

Niestety, wszystko to, to muzyka przyszłości. Dużo wody jeszcze upłynie, nawet w krakowskim wodociągu, choć większą część dnia i nocy zamknięty, nim się wszystko ułoży jako tako bodajby. Na szerokie omawianie kwestyi tak wielkiego politycznego znaczenia, ramy kroniki nie pozwalają, bo są zbyt ciasne.

Zresztą kronikarz notuje tylko fakta, nie wdając się w ich *meritum*, miałby bowiem być wszechstronnie wykształcony, jak nie przymierzając „Encyklopedya Orgelbranda“ i kuty na cztery nogi, ma zaś tylko dwie, i to, niestety, ostatnią parę!... Co będzie, gdy się ona zedrze?...

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Przesyłki w listach pieniężnych przyjmujemy tylko w markach!

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staraszewskiej.

TOM I.

5

Wywarła na nim potężne wrażenie. Widział jej wzrok, kiedy mówiła, że ma trzydzieści ośm lat, wzrok, który rozkazywał wierzyć w to, co mówi. Doktór nie wierzył, ale nie miał pojęcia ile ma lat, wiedział tylko, że więcej niż trzydzieści ośm. Była taka zdecydowana nie cierpieć, przejść przez życie — swe jedyne życie — bez cierpienia! A jednak cierpiała. Zgadywał dlaczego cierpi, to nie było trudnem. Była „w płytkiej wodzie", węzły przyjemności rozwiązywały się, i nie miała nic, czego mogłaby się chwycić, pomimo, że była mądrą kobietą. Dlaczego myślał, że jest mądrą? Nie był człowiekiem, którego łatwo było olśnić. Mrs. Chepstow nie powiedziała nic specyalnie świetnego, w swoim materyalizmie była dość krótkowidzącą, jeśli nie zaślepioną, życie swe marnowała — a jednak wiedział, że jest mądrą kobietą.

Była z nim bardzo szczera.

Dlaczego ta szczerość? Doktór zadawał sobie dzisiaj ciągle pytania, na które nie mógł odpowiedzieć. Czuł, że we wszystkiem, co mu Mrs. Chepstow powiedziała, kryła się jakaś bardzo określona intencya. Uczyniła na nim wrażenie kobiety, mającej dużo intuicyj często subtelnych. Nie mógł się oprzeć przekonaniu, że miała jakiś cel, dla którego chciała go poznać — nie mający nic wspólnego z jej zdrowiem. Przypuszczał, że chciała także jego lekarskiej porady, ale to nie było jedyną przyczyną, dla której do niego przyszła.

Zegar na kominku uderzył, czas wypoczynku się skończył. Zerwał się z fotelu. W dziesięć minut później był w zimnej kąpieli, a w pół godziny ubrany na obiad, zbiegał ze schodów jak człowiek zdrów i w dobrem usposobieniu. Przelotna depresya, którą go zaraziła ostatnia jego pacyentka minęła, i pragnął wesoło użyć zasłużonej rekreacyi. Był zaproszony do Lady Somerson, gościnnej wdowy, która nie mogła znieść samotności. Miała dzisiaj dużo gości, i kiedy dr. Iseacson wszedł do salonu, w którem było zebrane towarzystwo, przed obiadem, zastał ją w zrudziałej czarnej sukni, z byle jak ułożonemi siwemi włosami, prowadzącą rozmowę z tłumem ważnych i interesujących osób, które w przeważnej części dobrze już odeszły od młodości, ale były tak interesujące i ważne, że zapominały o swym wieku. Ponieważ to była środa, kwiat zebranego towarzystwa należał do świata politycznego, lecz pośród mężczyzn było dwu wojskowych, a pośród kobiet renomowana piękność, którą polityka zajmowała mało, a natomiast bardzo dużo dobra pogawędka. Była jedna z tych piękności, które panują tylko w Londynie, po części z powodu londyńskiej wierności, częścią zaś dzięki dobremu zdrowiu, dobremu humorowi i bezpretensyonalności.

Nazywała się Mrs. Derringham, miała czterdzieści ośm lat, i nie czyniła żadnych starań, żeby się odmłodzić. Żywa, energiczna, bez zmarszczek i bez widocznej próżności, nie zabraniała ani upoważniała myśleć o swym wieku, ale pociągała wszystkich wspaniałą postawą, ożywieniem, dobrym smakiem i gotowością do wesołego spędzenia czasu.

Dr. Iseacson znał ją dobrze, i podając jej rękę, pomyślał o Mrs. Chepstow i ogłoszonej przez nią ewangelii Materyalizmu. Mrs. Derringham wiedziała z pewnością, jak używać dóbr tego świata, ale miała jeszcze inne, nie samolubne cele w życiu; swego męża, dzieci, domowników i dobre uczynki. Zapuściła głęboko korzenie, w bogatą i wdzięczną glebę ludzkości. Kobiety w rodzaju Mrs. Chepstow, nie zapuszczały wcale korzeni, i cóż dziwnego jeżeli dnie i noce przynosiły ich duszom znużenie, które pozostawiało ślady na ich piękności?

Drzwi się otworzyły i wszedł ostatni z zaproszonych gości. Był to młody człowiek, wysoki, barczysty, z jasnemi, rozdzielonemi na środku głowy włosami, kształtną głową, prostym nosem, silnie zarysowaną, ale nie upartą brodą, trochę zmysłowemi ustami i dużemi, szczeremi, prawie że entuzyastycznemi niebieskiemi oczami. Mały, gęsty wąs, pokrywał jego górną wargę. Czoło, policzki i ręce trochę duże, ale nie brzydkie, były od słońca opalone. Miał trzydzieści sześć lat, ale z powodu braku jasnej cery wydawał się znacznie młodszym. Biły z niego jakaś prostota i jasność przypominające północ i rzeczy północne — blask gwiazd nad śniegami, chłodne wierzchołki gór, owiane wichrami, zapach borów sosnowych. Młody ten człowiek miał w sobie coś, z bohaterów Północy, ale widać było, że wraca z Południa, i że tam chętnie przystał.



Drzwi się otworzyły i wszedł ostatni z zaproszonych gości.

Na widok nowoprzybyłego gościa Lady Somerson pospieszyła go powitać, następnie przedstawiwszy go damie, którą miał do stołu prowadzić, z prawie gorączkową żywością dała sygnał przejścia do jadalnej sali.

— Lady Somerson nie ukrywa swych uczuć — szepnęła Mrs. Derringham siedzącemu obok niej dr. Iseacsonowi.

— Kto jest ten pan tak żywo powitany? twarz jego jest mi dobrze znana.

— Jeden z najlepszych ludzi na świecie — Nigel Armine. — Nie widziałem go od października, przebywał w Egipcie.

W tej chwili oczy ich się spotkały i zamienili przyjacielskie spojrzenie.

— Prawda, pamiętam. Wygląda na błędnego rycerza, jak i jego ojciec, ten biedny Harwich, którego często widywałem, dawnemi czasy, w Buruham-Hosue. — Nie spotyka się prawie Nigla, widocznie nie lubi Londynu i zabaw, które Herwich tak lubił, a jednak w jego twarzy była jakaś odrębność, poza światowość. A jak on wierzył w kobiety!

— Czy pani w kobiety nie wierzy?

— Na ogół, nie, wierzę tylko niektórym. Ale Harwich wierzył kobietom dlatego, że kobiety. A to zawsze zawodzi. Wierzył w nie jak dobry katolik wierzy w świętych, i został też ukarany.

— Mówi pani o późniejszych czasach, po śmierci matki Nigla? Ta pani — jak jej nazwisko? — Mrs. Alstruther?

— Tak, Mrs. Alstruther. Postępowała z Harwichem szkaradnie. Nawet gdyby była wolną, nie wyszłaby za niego, nudził ją. Ale on do końca ją ubóstwiał, i był przekonany, że mąż ją tyranizuje.

Co za niedorzeczność! Paweł Alstruther nie mógł przecie nazwać ani duszy ani swego worka swoją własnością. Nigel Arenine ma wejrzenie swego ojca. Urodził się by wierzyć kobietom. — Po chwili dodała:

— Godną zazdrości byłaby ta, w którąby wierzył!

— Powiedz mi pan coś, doktorze, o tym Mr. Armine — rzekła Lady O'Ryan jego sąsiadka, po drugiej stronie, która słyszała część tej rozmowy: — Pan wie, że najczęściej przebywam w County Clau, i jestem nieświadoma jak fijołek. Kto to jest, właściwie?

— Młodszy brat Harwich'a i spadkobierca jego tytułu.

— Tego tak bardzo bogatego Lorda Harwich, właściciela koni, które wygrywały na tylu wyścigach, i który przed dziesięciu laty ożenił się z Zoe Mulligan z Chicago?

— Tego samego. Nigdy nie mieli dzieci, a ponieważ Harwich zrujnował swe zdrowie, Armine może być pewnym spadku. Ale on sam ma swój osobisty, znaczny majątek, zwłaszcza dla kawalera. Matka zapisała mu cały swój posag.

— A czem się zajmuje?

— Służył w wojsku, ale wystąpił z niego i osiadł na wsi.

— Dlaczego?

— Ażeby wpływać na włościan. Ma wielkie pojęcie o obowiązkach właściciela względem swych czynszowników.

— Czynszownicy mego męża, mają wielkie pojęcie, co do jego względem nich obowiązków.

— To musi być zachęcające. Armine mieszkał na wsi, i robił wiele hojnych prób — budował wzorowe dworki, zakładał czytelnie, gimnazya, szkoły pływania. Słowem, wydawał pieniądze po królewsku.

— A oni chorowali na wdzięczność?

— Tak dalece nie. Niektóre usiłowania Armine'a dla polepszenia ich bytu, natrafiły na opozycyę. W końcu zrobił się hałas. Armine był tak zniechęcony złą wolą czynszowników, i okradaniem jego za wszystko co dla nich uczynił, że wyjechał i więcej nie wrócił.

— Jakie to ludzkie ignorować czytelnie i inne ulepszenia, by iść błotnistą ścieżką, która znikąd do niczego prowadzi.

— Życzenie gwiazdy, zostać molem.

— Pan nazywa ludzkość gwiazdą?

— Sądzę, że jest w niej płonąca jasność. — A pani tego nie znajduje?

— W Mr. Armine jest ona niezawodnie. Jakże u niego entuzyastyczne spojrzenie. Jak mógł się poróżnić ze swoimi czynszownikami?

— Prawdopodobnie skutkiem entuzyazmu, idealizmu. Może był za wymagający, żądał od nich za dużo świętego ognia. A przytem ma ogromne pojęcie o uczciwości, o prawach indywidualnych, i wreszcie o wielu innych rzeczach, nad którymi przeciętny człowiek nie łamie sobie głowy.

— Proszę tylko nie twierdzić, że został postępowcem — rzekła Mrs. Derringham. — Rodzina Harwichów była zawsze bardzo arystokratyczna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Katastrofa kolejowa
pod Jarosławiem.

Stacya kolejowa Munina koło Jarosławia bywa stosunkowo zbyt często widownią katastrof i nieszczęśliwych wypadków. Ostatni jaki wydarzył się w nocy z 18 na 19 maja br. zapisał się krwawemi głoskami, pociągnął bowiem za sobą cały szereg ofiar w ludziach, nie licząc zniszczenia wozów kolejowych i lokomotyw, uszkodzenia toru i wstrzymania ruchu.

Krytycznej nocy, około godziny drugiej nad ranem, przepełniony pociąg pospieszny Nr 10 idący ze Lwowa do Krakowa, wpadł na pociąg szybujący Nr 573, manewrujący na linii. Skutki zderzenia były straszne. Maszyna, wóz służbowy i 5 wozów towarowych pociągu szybującego zostały zdruzgotane. W pociągu pospiesznym zostały rozbite maszyna, wóz służbowy i 3 wozy trzeciej klasy.

Z pod gruzów pociągów rozlegały się przeraźliwe jęki. Rozpoczęto natychmiast akcyę ratowniczą i wydobyto 41 osób. Z nich siedm zabitych i dziesięć ciężko rannych. Ponadto 23 osoby odniosło lekkie kontuzye, które pozwoliły im udać się w dalszą drogę. Wśród ofiar znajduje się: 6 wojskowych i 1 cywilna zabici, 8 wojskowych i 3 cywilnych ciężko rannych, 7 wojskowych i 16 cywilnych lekko rannych. Ciężko rannych przewieziono do szpitala w Jarosławiu.

W szpitalu jarosławskim zmarł ponadto jeszcze jeden z ciężko rannych podróżny.

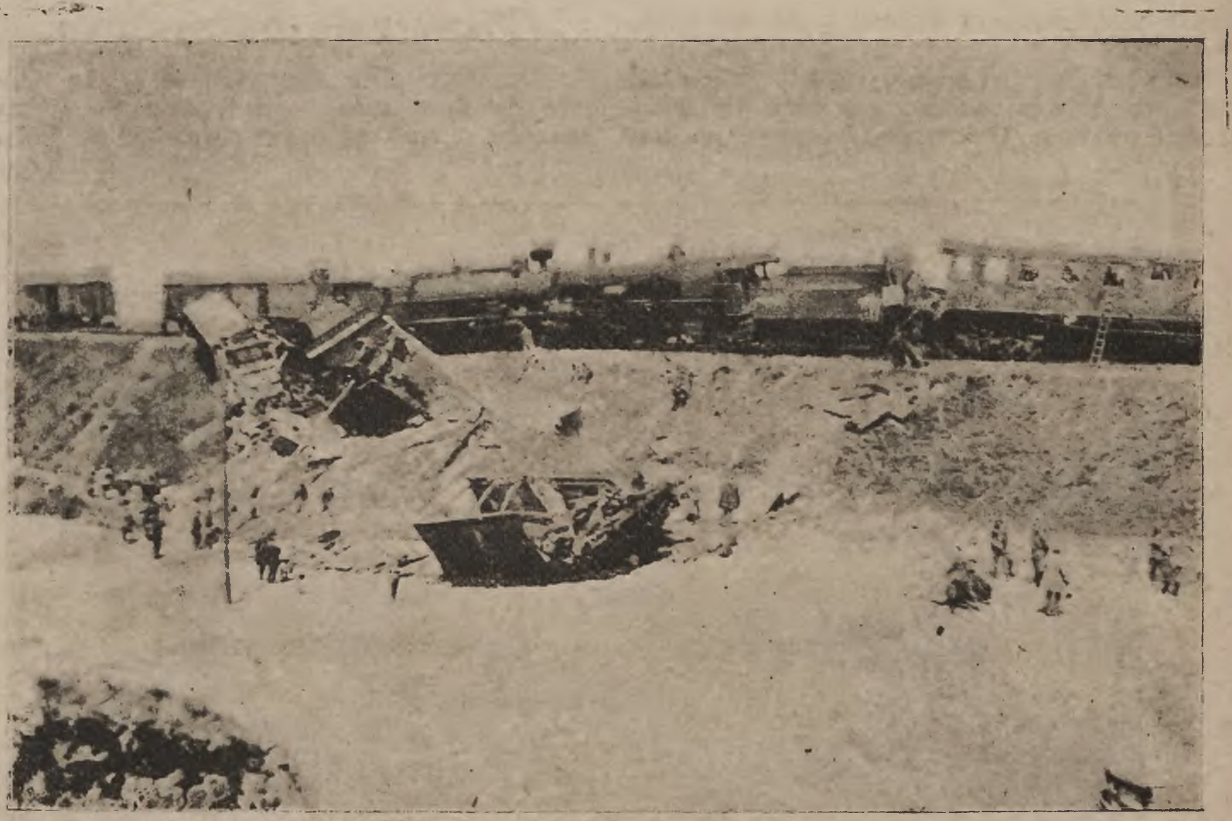
Z akcyą ratunkową pospieszyły natychmiast najbliższe stacye, szczególniej Jarosław, potem Przemyśl. Zajęto się przedewszystkiem udzielaniem rannym pierwszej pomocy, przewieziono ich do szpitala jarosławskiego, oraz uprzątnięciem toru, zawalonego szczątkami rozbitych wagonów. Ciemna i mglista noc utrudniała w wysokim stopniu akcyę ratunkową.

Równocześnie rozpoczęto dochodzenia nad wykryciem przyczyny katastrofy. W pierwszej chwili sądzono, że powodem były źle ustawione sygnały wjazdowe, wskazujące, że tor wolny. Było przecież inaczej. Stwierdzono, że pociąg szybujący na stacyi, wjechał już poza jej obrębem, na tor niewłaściwy. W tej chwili ujrzał przed sobą pociąg pospieszny, pędzący całą siłą pary po tym samym torze. Obaj maszyniści, widząc grożące im niebezpieczeństwo, starali się zahamować pociągi, było jednak już zapóźno. Jeszcze moment, a pociąg pospieszny wpadł na towarowy i skutki zderzenia były straszne. Rozległ się trzask i zgrzyt gruchotanych wozów, równocześnie zaś jęki rannych i rozpaczliwe wołania o pomoc. Groza położenia zwiększała ciemność nocy.

Obaj maszyniści cudem tylko uniknęli śmierci, zeskakując na czas z lokomotyw.

Ostatecznie ustaliło skrupulatnie przeprowadzone śledztwo, iż pociąg pospieszny, który stał się ofiarą kastrofy, jechał do ostatniej chwili wbrew przepisom z pełną szybkością 70 kilometrów na godzinę, mimo, że sygnał ostrzegawczy przed stacyą Jarosław był ustawiony na zwolnienie, sygnał zaś wjazdowy na „stój".

Ruch kolejowy na linii Lwów-Kraków nie został skutkiem katastrofy przerwany, uległ tylko pewnemu opóźnieniu.



Katastrofa kolejowa pod Jarosławiem: Ogólny widok miejsca katastrofy.



Katastrofa kolejowa pod Jarosławiem; Rozbite wagony pociągu towarowego.

Próby nawiązania stosunków polsko-rosyjskich.

W ostatnich czasach przybyło do Polski wielu wybitnych działaczy rosyjskich, pracujących za granicami swego kraju nad odbudową Rosyi i jej dawnego znaczenia, a zwalczających namiętnie szkodliwą działalność rządu komisarzy ludowych.

Czytaliśmy niedawno o przybyciu do Warszawy Rodiczewa, obecnie zjawił się tam Borys Sawinkow, były wiceminister wojny w gabinecie Kiereńskiego, jeden z najczynniejszych członków rosyjskiej partyi socyalno-rewolucyjnej.

Rosyjskie stronnictwa nie zgadzające się z polityką rządu Lenina i Trockiego, dążą stale do porozumienia z Polską i rozpoczęcia wspólnego działania przeciw bolszewikom. Ich dążeniem jest utworzenie rosyjskiego rządu poza granicami obecnej Rosyi, ale w każdym razie w niewielkiem od niej oddaleniu, skąd łatwo możnaby kierować ruchem anti-bolszewickim. Za najodpowiedniejsze w tym celu miejsce uznano Smoleńsk.

Socyal rewolucyoniści rosyjscy to jedyna dziś w Rosyi partya, mogąca liczyć na jakieś poparcie i mająca jakieś siły, są też solą w oku bolszewików, którzy członków jej prześladują z całą zawziętością. Sawinkowowi prawie cudem udało się ujść przed ich pościgiem.

Wobec tego stanowiska rosyjskich socyal-rewolucyonistów do obecnego rządu sowieckiego, przybycie Sawinkowa do Warszawy może mieć duże polityczne znaczenie, a uznają to nawet sami bolszewicy. Ostatnie telegramy doniosły, że w Londynie przejęto depeszę iskrową rosyjskiego komisarza ludowego Dzierżyńskiego, polecającą bawiącym zagranicą agentom komunistycznym zwalczanie za każdą cenę działalności Sawinkowa w Polsce.

Sawinkow znany jest ogólnie ze swej silnej woli i energii, uważają go powszechnie za człowieka, nie cofającego się przed najbardziej ryzykownym czynem, o ile miałby go doprowadzić do zamierzonego celu.

A takich przeciwników obawiają się kierownicy obecnej polityki w Rosyi.

Połączenie Polski z Bałtykiem.

Wprawdzie spotykamy się tu i ówdzie z wyrażeniem „polskie morze" w odniesieniu do Bałtyku, niestety, dzięki zarządzeniom Koalicyi nie mamy z nim dotąd bezpośredniego połączenia. Tworząc niezależne wolne miasto Gdańsk, odcięto nas od „polskiego morza".

Część wybrzeża morskiego, znajdująca się w polskiem posiadaniu nie rozporządza ani jednym portem, który odpowiadałby naszym potrzebom i posiadał należyte połączenie z wnętrzem kraju. Droga wodna jest zaś, przynajmniej na razie, jedyną ar-



Próby nawiązania stosunków polsko-rosyjskich: Borys Sawinkow, wybitny przedstawiciel rosyjskich eserów (SR), przybyły świeżo z Paryża do Warszawy.

eryą komunikowania się Polski z państwami sprzymierzonemi.

Obiecano nam wprawdzie wielkie ułatwienia w Gdańsku, ale ta obietnica nie mogła się dotąd doczekać realizacyi. Układy między wolnem miastem Gdańskiem a Polską stanęły na martwym punkcie. Niemcy nie przyznają nam w Gdańsku żadnych praw, tolerują nas tylko.

A nie trzeba zapominać, że Gdańsk rozsiadł się u ujścia Wisły do Bałtyku, że ma więc w swej ręce klucze żeglugi na tej królowej polskich rzek — dziś, wyrokiem koalicyi, umiędzynarodowionej.

Handel polski bez dróg wodnych pomyśleć się nie da, a swobodne ich używanie zależne jest od posiadania Gdańska. Aby handel polski mógł się rozwijać normalnie, musimy żeglugę na Wiśle ująć silnie w nasze ręce i zyskać wolny dostęp do morza.

Narazie polskie władanie na Wiśle kończy się w Toruniu. Tamtejszy port wiślany jest naszem „oknem", z którego widok na resztę Europy zasłania nam niezależny Gdańsk.

Ruch handlowy w Toruniu jest też nader ożywiony, a tamtejszy port na Wiśle przedstawia się wcale okazale.

W niniejszym numerze podajemy ogólny widok portu wiślanego w Toruniu i statek „Fortuna", kursujący stale na Wiśle.



Połączenie Polski z Bałtykiem: Statek wiślany „Fortuna".

Pionierowie bolszewizmu.

Decydujące sfery rosyjskie rade byłyby rozszerzyć idee komunizmu w całej Europie. Praca w tym kierunku odbywa się na dwu drogach. Leonid Krassin objeżdża stolice Europy, jako delegat rządu sowieckiego, celem nawiązania gospodarczych stosunków i usadowienia się pod tym pretekstem w danem państwie, podziemną robotą, spoczywającą w rękach tysięcy płatnych agitatorów, kieruje Litwinow-Finkelstein.

W dniu 27. maja przybył Krassin do Londynu, gdzie konferował z wybitnymi mężami stanu, między nimi i z Lloydem George. Na razie rokowania nie odniosły pożądanego skutku, Krassin bowiem zasłania się stale, że bez Litwinowa żadnej decyzyi powziąć nie może, a Anglicy, wiedząc czem to pachnie, nie pragną go bynajmniej widzieć w swych granicach.

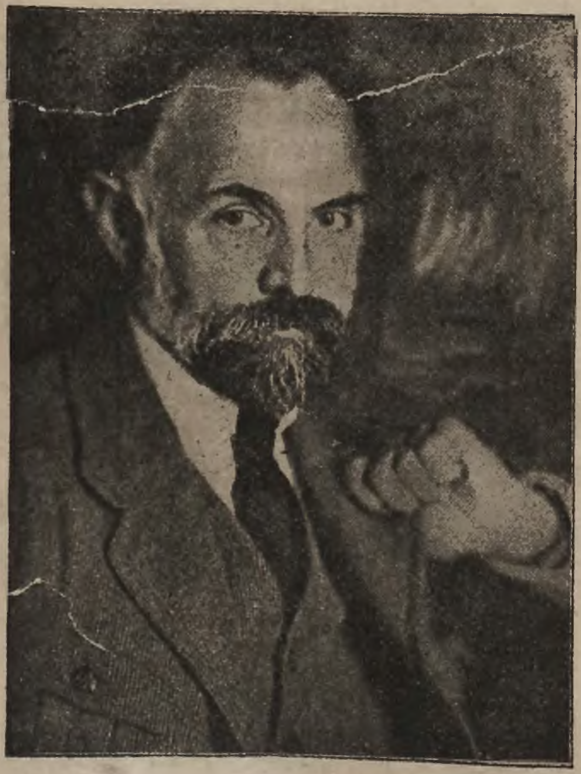
Oficyalnie oświadczyły państwa Koalicyi, że w żadne pertraktacye z rządem bolszewickim nie wejdą, nie przeszkadza to przecież Anglikom w prowadzeniu z Krassinem konszachtów, na które zwłaszcza Francya patrzy dość nieufnie. Ale handlarz-Anglik znajdzie zawsze wytłómaczenie. Uspokojono Paryż, że Lloyd George na razie omawia z Krassinem tylko „prywatne" interesy angielskie, a gdy przyjdzie kolej na właściwe rokowania, nie zapomni Anglia powiadomić o tem swą sojuszniczkę.

Anglii rozchodzi się o to, aby uprzedzić inne państwa w usadowieniu się w Rosyi, nie chcą też zrywać zupełnie z bolszewikami ze względu na swe interesy w Azyi.

Z Krassinem konferował także przybyły specyalnie w tym celu z Paryża czeski minister spraw zagranicznych dr Benesz. Tematem konferencyi miały być stosunki gospodarcze między Rosyą a Czechosłowacyą. O polityce podobno nie mówiono, co wygląda tem dziwniej, że prawie równocześnie rozeszły się po świecie pogłoski o konferencyi trójprzymierza: Niemcy, Rosya, Czechy.

Krassin jest jednym z nielicznych „czystych Rosyan" między kierownikami rosyjskiego komunizmu. Przed wojną był dyrektorem petersburskich fabryk Siemens-Schuckert. Lenin, z którym poznał się ongi w Baku, powierzył mu początkowo tekę amunicyi, potem handlu i przemysłu, wreszcie komisaryat komunikacyi. Uważają go powszechnie za autora drakońskich przepisów przeciw niedyscyplinie robotniczej.

W czasie pobytu w Anglii zdeponował Krassin w tamtejszych bankach podobno milion rubli w złocie, jako fundusik na „czarną godzinę".



Pionierowie bolszewizmu: Leonid Krassin, delegat rządu sowieckiego do nawiązania stosunków handlowo-gospodarczych z państwami Europy.

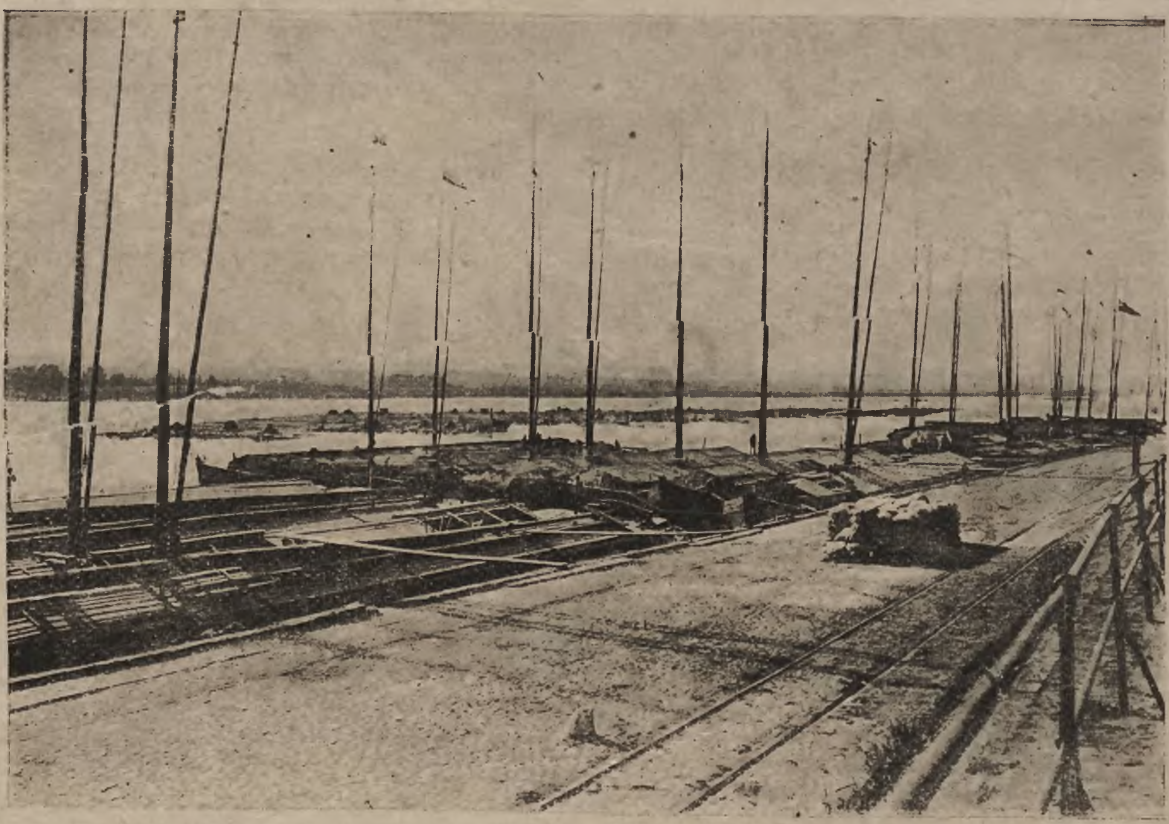
Popis uczniów krakowskiego kursu dramatycznego.

Istnieje w Krakowie zawodowa szkoła, mająca na celu teoretyczne i praktyczne wykształcenie adeptów sztuki dramatycznej. Prowadzą ją dwaj pracownicy naszego teatru im. J. Słowackiego, M. Jednowski i Dr Z. Nowakowski. Nazwiska ich mówią same za siebie, kierownictwo spoczęło w odpowiednich rękach, a że jest tak, a nie inaczej, przekonaliśmy się o tem z popisu, jaki się odbył w dniu 12 b. m. w sali Teatru miejskiego.

Kursa dramatyczne M. Jednowskiego i Dra Z. Nowakowskiego, to instytucya, powołana niedawno do życia, ale mogąca już dziś wykazać się owocami swej pracy dla dobra polskiej sceny.

Popis odbył się publicznie, dochód przeznaczono na cele plebiscytowe.

Na program, co z uznaniem podnieść należy, złożyły się deklamacye, fragmenty i sceny zbiorowe z arcydzieł polskiej literatury dramatycznej (Fredro, Słowacki, Wyspiański, Rydel itd.) z obcych wyjątek ze „Szkoły żon" Moliere'a. Popis był bez suflera, częściowo w kostyumach i charakteryzacyi.



Połączenie Polski z Bałtykiem: Ogólny widok urządzeń portowych na Wiśle pod Toruniem,

Ogólny wynik świadczy bardzo chlubnie o pracy kierowników Kursu, pilności i umiłowaniu sztuki przez uczniów. Sprawozdawca teatralny jednego z krakowskich dzienników w ten sposób wyraża się o popisie:

„Przesunęły się przed widzem fragmenty z dzieł Wyspiańskiego, Słowackiego, Rydla i Fredry — wykonane przez uczniów, posiadających przeważnie dobre warunki i daleko już zaawansowanych.

W szczególności jako obiecujący materyał wyróżniły się panie: Chełmirska, Turowska, Szemko i Śniadecka — panowie: Dobiesław. Wszyscy posiadają głosy dobrze postawione, mówią jasno, wyraźnie i z odpowiednim akcentem. Zwłaszcza scena z „Zaczarowanego koła", zagrana przez panią Tu-

rowską i Dobiesława, była już bliską tego poziomu, jakiego wymaga się od rutynowanych i utalentowanych artystów.

Ilustracya nasza przedstawia uczestników Kursu wraz z jego zasłużonymi kierownikami.



Kamiński w Krakowie: Kazimierz Kamiński.

Kamiński w Krakowie.

Miłośnicy teatru nie mogą narzekać na brak urozmaicenia, którego nie szczędzi im dyrekcya „Bagateli". Zaledwie ukończyły się gościnne występy Mieczysława Frenkla, tak entuzyastycznie przyjęte przez prasę i publiczność, podwoje „Bagateli" otwierają się znów na przyjęcie drugiego sympatycznego gościa, tak mile zawsze witanego w Krakowie.

Jest nim stary nasz znajomy Kazimierz Kamiński, ongi współpracownik krakowskiej sceny obecnie artysta teatrów warszawskich.

Pamiętamy dobrze Kamińskiego z czasów jego pobytu w Krakowie. W służbie Melpomeny zapisał się bardzo dodatnio, zbierając zasłużone oklaski tak w rolach bohaterskich jak i charakterystycznych. O ile pierwsze zyskały dlań uznanie poważnej krytyki, o tyle znów drugie uczyniły zeń ulubieńca parteru i galeryi. Śmiało można powiedzieć, że dla Kamińskiego nie ma roli, z której nie wywiązałby się należycie.

Dyrekcya „Bagateli" pozyskała Kamińskiego na dziesięć występów. Rozpoczął je w dniu 16 b. m. wspaniałą swą kreacyą w sztuce Pawła Lindana p. t. „Prokurator Hallers", w której odtwarza rolę tytułową.



Popis uczniów krakowskiego kursu dramatycznego: Uczniowie kursu wraz kierownikami.

Oktawa „Bożego Ciała" w Krakowie.

Kraków święci zawsze uroczystość Bożego Ciała z całem przejęciem. Procesya katedralna w sam dzień uroczystości, to coś tak podniosłego i wspaniałego, że niezatarte wspomnienia pozostawia u każdego, kto ją widział bodaj raz w życiu. Starożytny Rynek krakowski przybiera wówczas jakiś dziwnie odświętny wygląd, zalegające go tłumy zdają się myślą cofać w przeszłość, kiedy dzień ten obchodzono u nas jeszcze świetniej i wspanialej.

Niestety, w roku bieżącym, z powodu niepogody nie mogła procesya katedralna wyruszyć według zwyczaju na Rynek. Odbyła się w Katedrze.

Zato procesya z kościoła Maryackiego, przypadająca na oktawę Bożego Ciała udała się dzięki sprzyjającej pogodzie.

Z procesyą Maryacką łączy się ściśle stary krakowski obchód „konika zwierzynieckiego", czyli krótko „Lajkonika".

I z nim tak się zżył Kraków, że nie wyobraża sobie oktawy Bożego Ciała bez tego prawdziwie ludowego obchodu, bawiącego stale nie tylko młodych, lecz i starych.

Dowodem tego tłumy, zalegające w dniu tym Rynek w oczekiwaniu na jego „ofensywę" od strony ulicy Brackiej.

I w roku bieżącym odbył on zwykłą swą drogę, po hołdzie dla księcia Biskupa, ulicą Bracką wśród dźwięków orkiestry „tatarskiej" wkroczył w Rynek, gdy procesya już się miała ku końcowi. Tu odwiedził handel „pod Obrazem", przeszedł obok odwachu i zachodnią połacią Rynku aż do Hawełki, siejąc wokół przerażenie, ale i budząc okrzyki radości.

Rozporządzenie Ministra Skarbu

w sprawie wykonania ustawy z dnia 11 maja br. w przedmiocie przyjmowania obligacyi austryackich pożyczek wojennych przy wpłatach na 5% długoterminową wewnętrzną pożyczkę państwową z roku 1920.

Art. 1. Obligacye austryackich pożyczek długoterminowych i krótkoterminowych będą przyjmowane w myśl ustawy z dnia 11. maja br. przy wpłatach na długoterminową wewnętrzną pożyczkę państwową z r. 1920 do wysokości 25% ogólnej sumy subskrybowanej, według przeciętnego kursu emisyjnego, który po przerachowaniu na marki polskie ustala się w wysokości **66 Mk. pol.** za każde **100 Kor.**

Art. 2. Przy wpłatach na zewnętrzną długoterminową pożyczkę państwową z roku 1920, będą tylko przyjmowane te obligacye austryackich pożyczek wojennych, **które przy mającej być przeprowadzoną rejestracyi** zostaną zanotowane jako znajdujące się w posiadaniu obywateli polskich.

Art. 3. Wszystkie instytucye, przyjmujące wpłaty na rozpisane obecnie wewnętrzne pożyczki państwowe z r. 1920, są upoważnione do przyjmowania obligacyi austryackich pożyczek wojennych przy wpłatach na 5% długoterminową wewnętrzną pożyczkę państwową z r. 1920 do wysokości ¼ części ogólnej subskrybowanej sumy, **nawet przed przeprowadzeniem rejestracyi obligacyi** austryackich pożyczek wojennych w następujących wypadkach, a mianowicie:

1) jeżeli przedstawione obligacye austryackich pożyczek wojennych były zarejestrowane przez Polską Komisyę Likwidacyjną.

2) Jeżeli złożone obligacye austryackich pożyczek wojennych były subskrybowane w tej samej instytucyi, która obecnie przyjmuje wpłatę na długoterminową wewnętrzną pożyczkę państwową z r. 1920.

3) Jeżeli ogólna suma obligacyi austryackich pożyczek wojennych przedstawionych do wpłaty nie przewyższa 5.000 Mk. p.

We wszystkich powyżej wymienionych wypadkach wpłata w obligacyach austryackich pożyczek wojennych może być przyjętą na 5% długoterminową wewnętrzną pożyczkę państwową z r. 1920 z tem jednak **zastrzeżeniem, że subskrybent udowodni w sposób niewątpliwy, iż przedstawione przez niego obligacye austryackich pożyczek wojennych subskrybował sam, nie nabył z trzecich rąk.**

Art. 4. Pozatem osoby, które przedstawią tymczasowe imienne świadectwa na dokonaną przez nie subskrybcyę na **wewnętrzną długoterminową** pożyczkę państwową z r. 1920 wyłącznie w gotowiźnie, będą mogły dokonać dodatkowej subskrybcyę na tęż pożyczkę do wysokości ⅓ sumy subskrybowanej w gotowiźnie, uskuteczniając tę dodatkową wpłatę w obligacyach austryackich pożyczek wojennych.

Art. 5 Jeżeli na pewną część sumy subskrybowanej zostaną wpłacone obligacye austryackich pożyczek wojennych, to na wydanych tymczasowych świadectwach wewnętrznej długoterminowej pożyczki państwowej z r. 1920 obowiązkowo ma być uczyniona stosowna adnotacya, **jaka suma w danym wypadku została wpłacona obligacyami austryackich pożyczek wojennych, jaka zaś w gotówce markowej.** Jeżeli początkowo subskrypcya została dokonana tylko w gotówce markowej, później zaś dodatkowo, na mocy art. 3 i 4 niniejszego rozporządzenia, w obligacyach austryackich pożyczek wojennych, to będą wydawane na te dodatkowe wpłaty, oddzielnie tymczasowe świadectwa z odnotowaniem, że wpłata została dokonaną w obligacyach austryackich pożyczek wojennych.

Art. 6 Obligacye austryackich pożyczek wojennych stanowiące własność instytucyi użyteczności publicznej, mogą być przyjmowane przy wpłatach na długoterminową wewnętrzną pożyczkę państwową z r. 1920 do wysokości 50% ogólnie subskrybowanej sumy, za specyalnem zezwoleniem Dyrekcyi Skarbu we Lwowie, oraz Dyrekcyi Okręgów Skarbowych w b. Galicyi, i Izb Skarbowych w Lublinie i Kielcach w b. Królestwie kongresowem.

Art. 7. Obligacye austryackich pożyczek wojennych, stanowiące własność osób prywatnych, które udowodnią, że nie mają ich ponad 700 marek, mogą być również przyjmowane przy wpłatach na długoterminową pożyczkę wewnętrzną państwową z r. 1920 do wysokości 50% ogólnie subskrybowanej sumy za specyalnem zezwoleniem **Dyrekcyi Skarbu we Lwowie oraz Dyrekcyi Okręgów Skarbowych w Galicyi, a Izb Skarbowych w Lublinie i w Kielcach w b. Królestwie Kongresowem.**

Art. 8. Świadectwa tymczasowe, wydane na długoterminową wewnętrzną pożyczkę państwową z r. 1920, na które wpłata została całkowicie dokonaną w austryackich pożyczkach wojennych, nie mogą być przyjmowane do lombardowania przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową. Na tymczasowych świadectwach, na które została dokonana wpłata częściowo w gotowiźnie, częściowo zaś w obligacyach pożyczek wojennych, musi być uczyniona stosowna adnotacya, która będzie głosiła, że przy lombardowaniu tych świadectw Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa będzie **udzielała pod zastaw 80% wyłącznie od sumy wpłaconej w gotowiźnie.**

Uwaga do art. 4 i 8.

Przy wpłatach obligacyi austryackich pożyczek wojennych (bonów) na 5% długoterminową wewnętrzną pożyczkę państwową z r. 1920 będą wydawane tymczasowe świadectwa **wyłącznie imienne nie zaś na okaziciela.**

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył W. B., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę artykułu, którego brak daje się w życiu codziennem coraz bardziej odczuwać:

```
  ■
– ■ –
– ■ –
– ■ –
– ■ –
– ■ –
– ■ –
– ■ –
– ■ –
  ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w południowej Rosyi, 3. Miasto w Finlandyi, 4. Okres czasu, 5. Członek najbliższej rodziny, 6. Japończyk, znany z czasów wojny z Rosyą, 7. Zwierzę drapieżne, 8. Litera grecka, 9. Postać biblijna, 10. Spółgłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył S. S., Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, a,
c, d, d, i,
i, m, m, m,
r, s, s, y.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka na Węgrzech, 2. Wyżyna w Azyi, 3. Powieściopisarz francuski, 4. Góry w Ameryce.

Okienko.

Ułożył Henio Fujarka z Mościsk.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a a a b e
e   i   i
k k m o o
r   r   r
r s s v v
```

Znaczenie wyrazów: 1) Miasto we Włoszech, 2) ' ostać z „Pana Tadeusza", 3) Zjawisko fizyczne.

Logogryf.

Ułożył ˣazek Kr., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwisko znanego polskiego humorysty:

```
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
    – ■ –
    – ■ –
    – ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak drapieżny, 2. Rodzaj łodzi, 3. Część ubioru kapłańskiego, 4 O·ad, 5. Obrona zwierząt drapieżnych, 6. Rzeka w południowej Rosyi, 7. Rzemieślnik, 8. Drzewo szpilkowe, 9. Miejsce święte dla Turków 10. Utwór Słowackiego.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył M. Kamiński, Zakopane.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie:

I - am
w - dá
E - ba
I - ar
s - la
E - aus
A - ba
C - sa
o - zy
c - or
o - oc
S - ez

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Legionista z frontu

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą okrzyk, jaki się obecnie rozlega na wschodnim froncie:

E - s
- ra
e - a
- am
I - a
- os
s - s
- os
l - s
- am
r - w
w - ąs

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 H. Sienkiewicza: „Listy z Afryki", 2) Paczkę papieru listowego 25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 23.

Trójkąt magiczny: Tołłoczko, Oklahama, Łopatyn, łabędź, omega, cyna, Zan, ko, o.

Zadanie do uzupełnienia: Cisa, Lena, Emma, mora, Ebro, Nero, Como, Ezaw, Apis, Ural.

Zadanie na rozsypane litery: Cicha woda brzegi rwie.

Zadanie do przestawienia: rawda w oczy kole.

Zagadka: Hoover, Tover, rower.

Logogryf: M, Sas, Konon, sny, Sem, Dover, lis, Kolin, alt, areta.

Okienko: Kulig, Lenin, Gonta.

Przysłowiówka: 1) Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie, 2) Nie odrazu Krakow zbudowano.

Przysłowiówka: 1) Mowi, jak ślepy o kolorach, 2) Zna się, jak kura na pieprzu.

Grzebieniówka: Sawa, t, Apis, n, Igor, s, Łódź, a, woda, ó, wilk.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: T. Nowicki Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, . Lipski Wiedeń, M. Radzińska Sanok, S. Zajączkowski Rzeszów, M. Kot Przemyśl, M. Hanasiewicz Stanisławow, K. Wierzbicki Tarnów, T. Ostrowski Zakopane, S. Sokołowski Kraków, W. Raczyński Kołomyja, M. Sawicka Lwów, K. Koźmiński Warszawa, J. Jaworski Lwow, K. Łempicki Kraków, S. Samlicki Lwów, H. Weigel Jarosław, K. Radziszewski Warszawa, S. Grabowski Wadowice, a. Lipski Wiedeń, M. Zak Krakow, M. Kamiński Zakopane, M. Kozłowski Przemyśl. M. Kowalska Kraków, J. Nowak Dronobycz, K. Fijałkowski Krakow, L. Gartner Rozwadow, H. Dąbrowska Warszawa, W. Lange Toruń, H. Gruszczyński Tarnow, J. Zawadzki Kraków, H. Frasiński Bochnia, . Szczudłowski Jarosław, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwow, J. Tomaszewski Biała, K. Balicka Tarnopol, J. Czernecki Jasło, Z. Sperling Lwow, M. Kaczorowski Kraków, J. Roland Kraków, M. Hiller Lwow, R. Lorda Lwow, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Kaligorska Płock, J. Remer Sambor, B. Wiśniewski Łańcut, K. Borkowski Krakow, J. Gross Bochnia, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, S. Nowacki Lwów, W. Raczyński Krakow, S. Sokołowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, S. Kohn Stryj, L. Bogucka Warszawa, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, M. Lewińska Stanisławów, J. Boczarski Lwów, M. Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) T. Nowicki Kraków książka), 2) H. Gąsiorowski Warszawa (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina. Pod zarządem Stefana Karczmarskiego